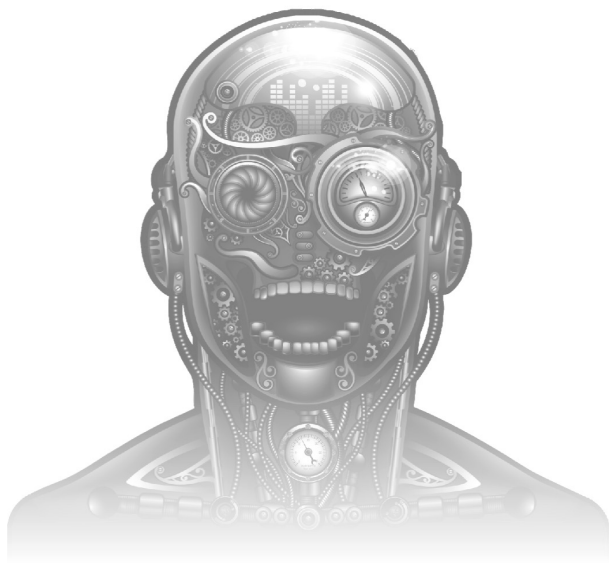


Przedksiężycowi



# Anna Kańtoch

## Przedsiębiorcy I



**powergraph**

Warszawa 2013

Copyright © 2009-2013 by Anna Kańtoch  
Copyright © 2013 by Powergraph  
Copyright © 2013 for the cover by Rafał Kosik  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Michał Cetnarowski i Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na I okładce: Rafał Kosik i Adelevin  
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01  
www.olesiejuk.pl, e-mail: [fk@olesiejuk.pl](mailto:fk@olesiejuk.pl)



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl), [sklep.powergraph.pl](http://sklep.powergraph.pl), e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-61187-74-5**

Printed in Poland, EU





## Prolog

Jacques Diot chciał zabić Daniela Pantalekisa. Było to uczucie czyste, proste i stosowne do okoliczności. Francuz wierzył, że w ten sposób przysłuży się całemu społeczeństwu.

— Ty gnoju — powiedział cicho, zaciskając olbrzymie dłonie w pięści. Na kostkach palców poruszyły się czerwono-czarne tatuaże Kościoła Nowych Ziemi. — Ty porąbany skurwysynu.

Mniejszy, jasnowłosy mężczyzna pisnął coś niewyraźnie, a jego uderzająco brzydka twarz skurczyła się w wyrazie przerażenia. Cofnąłby się, gdyby mógł, ale za plecami miał konsolę nawigacyjną. Ekran wyświetlał koordynaty „Optymisty”.

— Co się stało? — Katerina niezgrabnie włożyła kurtkę pomarańczowego kombinezonu. Po hibernacji zawsze budziła się zmarznięta i zeszywniała; była pewna, że gdyby teraz spojrzała w lustro, zobaczyłaby skórę bladą i miękką jak niewypieczone ciasto. Na szczęście wtłoczone w jej żyły substancje pobudzające działały. Zaczynała być głodna, a to dobry znak.

— Jacques? Daniel? — rzuciła niecierpliwie.

— Co jest? — włączył się Ivain.

— Zmienił nam trasę — warknął Jacques. — I w rezultacie jesteście teraz na jakimś zadupiu, w odległości pół roku od domu.

— Myślałem, że w ten sposób omiśniemy punkt celny! — Pantalekis z każdą chwilą robił się coraz bardziej błądy i wyglądał, jakby się kurczył. — Nie wiedziałem! Coś musiało się spieprzyć!

Jacques uderzył go w twarz. Daniel z jękiem zatoczył się do tyłu i wsparł o konsolę.

— Coś się spieprzyło? Ty wszystko spieprzyłeś.

— Tym razem przegiąłeś, Pantalekis. — Katerina włożyła ręce do kieszeni kurtki. Ładne, dziewczęce rysy zastygły w wyrazie obrzydzenia zmieszanego z pogardą. Nawet nie drgnęła, gdy Jacques uderzył drugi raz, ani później, kiedy Daniel upadł i wypluł na podłogę krew.

— Przestańcie — wtrącił Ivain. — To nic nie da.

Lecz nawet on się nie ruszył, by powstrzymać Jacques'a.

Od przeszło roku tolerowali Daniela Pantalekisa, pomimo iż chudy i brzydki jak deszczowa noc potomek Greków miał niesamowitą zdolność pakowania się w kłopoty. Jednak miał też jeszcze więcej szczęścia, które pozwalało mu wychodzić z nich obronną ręką, zdolności techniczne oraz talent do ciemnych interesów. Całe jego życie stanowiło pasmo spektakularnych wpadek i równie spektakularnych sukcesów. Właśnie Pantalekisowi zawdzięczali to, że poza legalnym ładunkiem „Optymista” wiozł również kilka starannie ukrytych skrzynek zakazanych antyagapików. Na Kerberosie będą je mogli sprzedać z kilkunastokrotnym przebicciem, jeżeli, oczywiście, do tego czasu rynek się nie zmieni.

Pół roku, pomyślała Katerina. Stracili pół roku, żeby dotrzeć na to zadupie, i stracą kolejne pół, żeby wrócić. Kurwa mać.

Daniel zaszlochał, wycierając rękawem smarki zmieszane z krwią.

Ivain podszedł do komputera.



— Jacques, przestań — powiedział i tym razem w jego głosie zabrzmiało coś, co sprawiło, że potężny Francuz posłuchał. — Patrzcie.

Na ekranie przesuwiał się zarejestrowany przez zewnętrzną kamerę obraz powierzchni planety. Krążyła wokół starego słońca i wyglądała na martwą.

— Tam nic nie ma... — Jacques niepewnie podrapał kark.

— Spójrz uważnie.

Włączył opcję powiększenia, po czym wskazał lewy dolny róg ekranu.

— Tu. — Jego palec przesunął się w bok. — I tu. Przyjrzyjcie się.

Katerina wciągnęła powietrze przez zęby.

To, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak rozrzucone po górskich zboczach gigantyczne głazy, w rzeczywistości okazało się pozostałościami budynków. Teraz, gdy zdała sobie z tego sprawę, zaczęła dostrzegać coraz więcej szczegółów. Podświetlone blaskiem czerwonego słońca ruiny wyglądały, jakby płonął w nich ogień.

— To wymarłe miasto — szepnęła, wążąc na języku każde słowo. Bała się, że samo wypowiedzenie na głos myśli sprawi, iż wszystko okaże się złudzeniem. — Może któraś z naszych zaginionych kolonii, a może... może to miasto Obcych...

— Bzdura — burknął Jacques, ale bez specjalnego przekonania. Jego oczy błyszczały podnieceniem. Stojąca obok zarumieniona Katerina jeszcze nie chciała pozwolić sobie na radość.

Daniel stanął za ich plecami. Z rozbitej wargi wciąż ciekła krew, ale zdawał się tego nie zauważać.

Ivain roześmiał się niespodziewanie.

— Pantalekis, nad tobą musi czuwać jakiś cholernie pracowity bóg. Wiesz, z rodzaju tych, którzy opiekują się idiotami i pijakami. Człowieku, ty masz więcej szczęścia niż rozumu. Nie, ty w ogóle nie masz rozumu, a za to masz kurewsko wielkie, kosmiczne szczęście.

— Zejdziemy tam, prawda? — zapytał z nadzieją Jacques.

— Skarby — szepnął Daniel niemal z nabożną czcią. — Niezależnie od tego, co to za miasto, tam mogą być skarby.

— Zawsze byłeś chciwy, Pantalekis — parsknęła Katerina.

— Mam na imię Daniel. — Brzydał poczerwieniał leciutko. — Ile razy prosiłem, żebyś nie zwracała się do mnie po nazwisku?

Mierzyl się wzrokiem i tak jak zawsze Daniel poczuł osobliwą mieszaninę nienawiści, zazdrości oraz pożądania, którą budziła w nim ta kobieta.

— Nie udawaj, że też o tym nie pomyślałaś — wymamrotał.

— Ja nie myślę o pieniądzach, tylko o przygodzie — wyszczerzyła zęby. — I o sławie odkrywców. To jak, bierzemy wahadłowiec i lądujemy?

— Nie mamy odpowiedniego sprzętu, tak naprawdę to jest zadanie dla archeologów — odezwał się trzeźwo Ivain. — Albo nawet ksenoarcheologów. Tam mogą być jakieś bezcenne artefakty, które zniszczymy, nie mówiąc już o tym, że komuś z nas może się coś stać.

— Daj spokój — Katerina parsknęła lekceważąco — przecież ja nie mówię o włożeniu w jakieś dziury. Po prostu wylądujemy i rozejrzemy się trochę, co w tym złego? Atmosfera — popukała we wskaźniki — nadaje się do oddychania, temperatura jest znośna. Brak śladów życia, więc nic nam nie grozi. Zresztą weźmiemy broń i pakiet medyczny. Chyba nie chcecie przepuścić takiej okazji?

— Nie, jasne, że nie. Ale ktoś musi zostać na statku.

— Zostawmy jęgo. — Jacques ruchem głowy wskazał Pantalekisa, po czym dodał złośliwie — zasłużył sobie.

Zanim Daniel zdążył zaprotestować, Ivain niespodziewanie przyszedł mu z pomocą.

— Jeśli zostawimy go samego, wysadzi w powietrze cały statek — burknął. — Nie, on idzie z nami, a zostać musi ktoś z naszej trójki.

Za plecami Ivaina Pantalekis pokazał Francuzowi wyprostowany palec.

Losowali zapalki, a raczej pełniące funkcje zapalek odcinki zapasowego kabla. Jacques wyciągnął najkrótszy. Skrzywił się, wyraźnie rozczarowany, ale nie zaprotestował.

Katerina odetchnęła z ulgą. Nie była pewna, czy na jego miejscu równie łatwo pogodziłaby się z wyrokiem losu.

\*\*\*

— Dostałbym klaustrofobii, gdybym tu mieszkał — powiedział Ivain, zdejmując hełm i zadzierając głowę.

Katerina i Daniel zgodzili się milcząco. Zrujnowane miasto piętrzyło się wokół nich niczym monstrualne klocki, rozrzucone od niechcienia na górskich zboczach. Schody, biegnące dziwnymi zakosami, to niknące, to znów pojawiające się w najbardziej niespodziewanych miejscach, tarasy, budynki, które zdawały się składać z dziesiątek mniejszych budowli, łączących się ze sobą i przechodzących jedne w drugie – wszystko to sprawiało wrażenie labiryntu. Słońce chlustało szkarłatem na czerń popękanych kamiennych ścian i szarość schodów pokrytych warstwą pyłu. Wszędzie ta szarość i czerń. Choć nie, nie wszędzie, zreflektował się Ivain. Część budynków przesłaniały konstrukcje z prerdzewiałego metalu. Rusztowania? Jakieś osobliwe zdobienia? Mężczyzna nie potrafił zgadnąć. Czymkolwiek to było, teraz przypominało rudobrazową, bardzo starą i bardzo zniszczoną koronkę, tak lekką, że wydawało się, jakby od ścian mógł ją odebrać silniejszy podmuch wiatru.

Mężczyzna potrząsnął głową. Miasto było... dziwne, ale chyba nie aż tak, by uznać je za zbudowane przez obcą cywilizację. Z drugiej strony, nie bardzo też potrafił wyobrazić sobie mieszkających tu ludzi.

— Co teraz? — Przeczesał palcami włosy. W słońcu jego skóra wyglądała na oparzoną, jakby ktoś oblał go wrzątkiem.

Katerina powoli obróciła się wokół własnej osi, chłonąc piękno martwego świata i zarazem pozwalając, by zimny wiatr rozwiał jej włosy. Podmuchy niosły ze sobą drobinki ostrego

pyłu i ledwo uchwytny zapach spalenizny. Podeszła do jednej z popękanych ścian i przesunęła po niej dłonią. Na skórze zostały czarne ślady.

– Tu był pożar – szepnęła, odrobinę speszona ciszą. – Może całe to miasto płonęło.

Poszukała wzrokiem budynku, do którego mogliby wejść. Nie musiała się długo rozglądać – jeden z czarnych gmachów, niezbyt wysoki, lecz za to bardzo rozległy, był znacznie lepiej zachowany niż pozostałe. Katerina podeszła bliżej. Mury potężne jak w romańskiej świątyni okazały się osmalone, ale nie popękane, płaski dach też sprawiał wrażenie nienaruszonego.

– Pójdziemy tam – zdecydowała.

Ivain w pierwszej chwili chciał zaprotestować, uznał jednak, że budynek wygląda naprawdę solidnie, więc nic nikomu nie powinno się stać. Poza tym i tak nie zdołałby powstrzymać Kateriny.

Wkraczając w mrok, włączyli latarki. Smugi jaskrawego światła omiotły wnętrze, wyławiając z ciemności czarne kolumny. Każda z nich składała się z dziesiątek postaci naturalnej wielkości, nagie dziewczęta stały na ramionach nagich chłopców, inne pary obejmowały się jak w tańcu. Jedno na drugim, jedno obok drugiego. Ivain spojrział wyżej – tam tancerze rozpełzali się, podtrzymując wachlarzowe sklepienie, ich sylwetki stopniowo wtapiały się w strop jak w miękkie masło. Jeszcze gdzieś widać było kawałek pleców, pośladek, stopę, potem i to zniknęło.

Porównał wysokość sali z wysokością widzianego od zewnątrz budynku. Doszedł do wniosku, że nad nimi musi znajdować się jeszcze kilka pięter. Może nawet kilkanaście.

Ivain skierował strumień blasku w bok i odnotował obecność spiralnych schodów. Jednych, potem drugich. I kolejnych, ginących w półmroku.

Daniel wszedł w coś w rodzaju alejki, która biegła środkiem sali; tworzyły ją przerdzewiałe, czterołape i zwierzopodobne figury. Czas zatarł ich kształty, lecz i tak niektóre bardzo przypo-

minały ziemskie ssaki. Tu szakal, tam chyba hiena, jeszcze dalej któryś z wielkich kotów.

— Myślicie, że to są bóstwa Obcych? — zapytał Pantalekis.

— Wątpię. — Ivain wyłowił z mroku następne schody, które wijąc się, wiodły na wyższe piętra. Pod nimi znajdował się mechanizm, oczywiście też przeżarty przez rdzę. — A jeśli tak, to ci Obcy niewiele się od nas różnili. Ona na przykład wcale mi na Obcego nie wygląda. — Oświetlił jedną z tańczących dziewcząt. — A ta sala pewnie jest... no nie wiem, muzeum albo czymś w tym rodzaju.

— Muzeum, dobre — zachichotał Daniel. Przesuwając palcem po jednej z figur, wzniecił chmurę żelazistego pyłu. — Rany, jakie to musi być stare. — Skrzywił się z niesmakiem. — Gdybym ją kopnął, pewnie całkiem by się rozpadła.

— A to co? — Katerina oświetliła okrągłą wnękę w ścianie.

Takich wnęk było więcej. Rozmieszczone równomiernie co kilkanaście kroków, kojarzyły się Ivainowi z kapliczkami w kościele. Naturalną koleją rzeczy sądził, że będą w nich stały posągi, lecz gdy wszedł do najbliższej, okazała się pusta. Stał ze ścianą warstwę kurzu, odsłaniając rząd skomplikowanych symboli. A może po prostu liter?

— Za cholerę nie mam pojęcia, co to może być — powiedział.

Daniel nadal oglądał figury zwierząt, pełen nadziei, że któraś okaże się zrobiona z czegoś trwalszego niż metal albo przynajmniej będzie mniej zardzewiała. Katerina podeszła do schodów i ciekawie przyjrzała się mechanizmowi. Był wyższy i szerszy od niej, pełen jakichś skomplikowanych elementów, z których rozpoznawała tylko koła zębate.

— Ruchome schody? — zapytała niepewnie. — Myślicie, że to coś wprawiało w ruch schody?

Zadarła głowę. Nad nią, na wysokości niecałych trzech metrów, wisiała krata, niegdyś zapewne bogato zdobiona. Do czego służyła? Wisiała pionowo, na łańcuchach, więc pewnie w zależności od potrzeby można ją było podnieść bądź opuścić.

Katerina uznała, że opuszczona krata oddzielała ludzi od napędu schodów, by nikt niepowołany nie pchał tam rąk, a podnoszono ją, gdy na przykład trzeba było coś naprawić.

Przesiane przez kratę światło latarki rzucało na ścianę wydłużone, drgające cienie, kurz wiercił w nosie i osadzał się w gardle drapiącą warstwą. Za plecami słyszała odgłosy kroków zwielokrotnione głuchym echem, a potem połknięte przez ciszę.

Katerina skierowała strumień blasku z powrotem na skomplikowany mechanizm i podeszła jeszcze bliżej. Miała niemal pewność, że poszczególne elementy napędu pełnią funkcję nie tylko użytkową, że każdy z nich stworzono tak, by był też piękny. Dzieło sztuki i mechanizm w jednym. O, na przykład to porzewiałe kółko wyglądało, zupełnie jakby ktoś uformował je w kształt śmiejącego się słońca...

Wyciągnęła rękę.

Ivain był jedynym, który widział dokładnie, co się potem stało. Widział, ale ponieważ pozostało mu niecałe osiem minut życia, nie zdążył o tym nikomu powiedzieć.

Po pierwsze, najbliższa drzwi figura obróciła się z przeraźliwym zgrzytem, zachwiała i runęła, pyskiem trącając kolejne zwierzę. I znów: lekkie poruszenie metalowego ciała, utrata równowagi, zardzewiała łapa uderza w kolejny zardzewiały grzbiet. Rząd przewracał się jak kostki domina, sypiąc wokół płatami rdzy, a najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że zwierzęta wcale nie stały aż tak blisko siebie, że każde przed upadkiem zdążyło jeszcze wykonać ten jeden, ostatni ruch wystarczający, by trącić sąsiada.

Po drugie, gdzieś w połowie tego przedstawienia Daniel wyjął broń i obrócił się, tocząc wokół przerażonym spojrzeniem. Po trzecie, ostatniej w rzędzie figurze odpadła głowa; zwierzęcy łeb odłamał się jak sucha makówka i potoczył wprost pod nogi Pantalekisa. Mężczyzna wrzasnął, odskoczył, potknął się i przewrócił, a pistolet wypalił. W górę, ponad głowami ich wszystkich.

Krata zadygotała, jeden z podtrzymujących ją łańcuchów pękł. Katerina podniosła wzrok, a Ivain wrzasnął:

– Uciekaj!

W tej samej chwili drobinki rdzy wpadły jej do oczu i kobieta zasłoniła twarz, upuszczając jednocześnie latarkę.

– Uciekaj!

Krata zjeżdżała na jednym łańcuchu, przekrzywiona, w łomocie starego żelastwa. *Łup, brzdęk, łup, brzdęk*, w miarę jak pod wysokim sufitem rozwijały się kolejne zwoje.

Katerina ruszyła naprzód, oślepiiona, z zaciśniętymi powiekami i wyciągniętymi dłońmi. I uciekaby, miała na to wystarczająco dużo czasu, ale przecież była jeszcze latarka leżąca na posadzce. Kobieta potknęła się o nią i rozciągnęła jak długa. A krata opadła z hukiem, więżąc jej stopę. Jeden z metalowych bolców musiał ją zranić, bo wrzasnęła.

– Nie ruszaj się! – Ivain już do niej biegł. Nie miał czasu zastanowić się, jak przedziwnego zbiegu okoliczności właśnie był świadkiem. – Zaraz cię wyciągniemy. Daniel!

– Nic mi nie jest! – odrzyknęła dziarsko. – Chociaż... cholera, trochę mnie boli.

– Spokojnie, pomożemy ci. Daniel, chodź tu z tą apteczką!

Pomogli Katerinie usiąść, a gdy posykując z bólu, przekręciła stopę, bez trudu uwolniła się z pułapki.

Ivain podwinął nogawkę jej kombinezonu i oświetlił łydkę. Rana nie krwawiła mocno, ale skóra wokół niej miała brzydkie, sinozielone zabarwienie.

Przełknął ślinę.

– Co to było? – jęknęła Katerina. – I o co się... – urwała, widząc minę Ivaina. – I jak? Paskudnie to skaleczenie wygląda? Cholera, boli coraz bardziej... Chyba zaraz zemdleję.

– Daniel, podaj jej antybiotyki. Mogło dojść do zakażenia.

Pantalekis posłusznie sięgnął do apteczki. Ręce mu drżały i szczerze pragnął być teraz jak najdalej stąd, najchętniej na statku,

bezpieczny w swoim łóżku. Metaliczny łomot wciąż dzwonił mu w uszach; pod powiekami miał obraz zwierzęcego łba, który tak nagle potoczył się pod jego stopy, by spojrzeć zasnutymi rdzą ślepiami. Zbudził się w nim strach, nie o Katerinę, ale o siebie samego. Pantalekis wiedział, że to znowu będzie jego wina, ten przypadkowy strzał, krata, rana Kateriny... Zawsze jego wina.

— I coś na ból, proszę... — jej głos załamał się i zaszlochała. Ivain zeszytywniał, czując, jak serce obciąża mu lęk. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Katerina płakała.

Kilka sekund trwało, nim wziął się w garść.

— W porządku, środek przeciwbólowy też. Zabieramy cię na statek.

Podnieśli ją, biorąc pod ramiona. Zwisła między nimi ciężko, płonąca od gorączki i na wpół przytomna. Przez pierwszych kilkanaście metrów próbowała jeszcze kuśtykać, potem po prostu ją wlekli. Podwinięta nogawka odsłaniała skórę, na której plama martwicy rozlewała się aż do kolana.

Ponad głową Kateriny Daniel posłał Ivainowi pytające spojrzenie.

— Co jej jest? — szepnął.

— Nie wiem, ale wygląda paskudnie, jak coś w rodzaju kurewsko szybko postępującej gangreny. Nie wiem, czy nie będziemy musieli jej tej nogi obciąć.

— Żartujesz? Nie mamy odpowiednich warunków!

— Nie widzę innego... Cholera... — Ivain zaklął, otwierając drzwi, bo gwałtowny podmuch wiatru sypnął mu w oczy pyłem. Puścił Katerinę, zatoczył się w tył i upadł na jedną z przewróconych figur.

Musimy stąd spieprzać, pomyślał, rozcierając łokieć. Im szybciej, tym lepiej.

— Zraniłeś się? — głos Daniela był wysoki, na granicy hysterii.

— Co?

— Zraniłeś się? Bo jeśli w tym zardzewiałym metalu coś jest...



— Nic się nie stało. — Ivain, mrugając, pozbył się spod powiek resztek pyłu. Razem wyciągnęli Katerinę na zewnątrz, po czym przystanęli w czerwonym blasku słońca.

Daniel był spocony i zdyszany, Ivain spocony, zdyszany i blady jak śmietankowy ser. Kładąc na ziemi Katerinę, skrzywił się, co nie uszło uwagi drugiego mężczyzny.

— Pokaż rękę — zażądał Daniel.

— Nie bądź idiotą.

— Pokaż.

Ivain z westchnieniem podwinął rękaw, demonstrując zdrową, nienaruszoną skórę.

— Zadowolony?

— Więc co ci jest? — nie ustępował Daniel. — Jesteś biały jak ściana.

— Mam kłopoty z sercem, w porządku? To nic wielkiego, zaraz jak wrócimy na statek, wezmę lekarstwo.

Katerina poruszyła się i jęknęła.

— Proszę, jeszcze jeden zastrzyk... Boli... O Boże, jak boli...

— Słyszysz? Zamiast martwić się o mnie, daj jej zastrzyk — warknął Ivain.

Daniel zacisnął zęby, ale posłusznie wyjął z apteczki środek przeciwbólowy, załadował ampułkę do iniektora i wbił igłę.

— Jeśli jej zaszkodzi, to będzie twoja wina — wymruczał.

Kobieta zamknęła oczy, jej ściągnięte cierpieniem rysy wygładziły się. Znieruchomiła.

— Już lepiej? — Ivain pochylił się nad nią z troską. — Katerina? Katerina?!

Zbliżył policzek do jej ust, położył rękę na szyi. Potem odwrócił się w stronę towarzysza. W oczach miał grozę.

— Nie żyje... Danielu, ja myślę, że ona umarła.

Pantalekis odsunął się kilka kroków, jakby to, co spotkało Katerinę, było zaraźliwe.

— Ja nic nie zrobiłem! — krzyknął załamującym się głosem.

Ivain zacisnął usta. Wciąż pochylał się nad Kateriną, wspierając się jedną ręką o ziemię.

— Wiem. Pomóż mi wstać, proszę...

— Źle się czujesz, prawda? — zapytał podejrzliwie Daniel. — Słabo ci?

— Pomóż... mi... wstać...

Pantalekis na wszelki wypadek odsunął się jeszcze kilka kroków.

— Nie — powiedział. — Ani mi się śni. To może być jakaś zaraźliwa choroba, którą oboje złapaliście.

— Potrzebuję... lekarstwa... na statku... Proszę...

Daniel w milczeniu pokręcił głową. Oczy miał wielkie, przerażone, a twarz zaciętą w wyrazie zdecydowania.

— Nie.

Ivain zachwiał się, podparł drugą ręką. Jego skóra, wcześniej po prostu blada, teraz wydawała się niemal przezroczysta. Grube krople potu spływały mu z czoła, usta poruszały się, jakby wciąż próbował coś mówić. Daniel przymknął oczy. Gdy je otworzył, Ivain leżał z głową na piersi Kateriny niczym Romeo przytulony po śmierci do swej ukochanej. Nie oddychał, a przynajmniej tak to wyglądało z odległości kilkunastu kroków. Pantalekis nie zamierzał sprawdzać.

Odwrócił się w stronę wahadłowca, rozważając, czy uda mu się dopilotować go do statku. Miał zawroty głowy, ale tłumaczył sobie, że to skutek strachu, z pewnością nie tej koszarnej choroby.

Wtedy właśnie z nieba sfrunął anioł.

Błękitne światło otulało jego sylwetkę niczym kombinezon. I miał skrzydła, srebrzyste, mechaniczne skrzydła, z których strzelały w niebo iskry. Wylądował na schodach, po czym zaczął iść w dół.

Daniel zamarł w bezruchu. Anioł kroczył, odziany w blask, i wyglądało na to, że za chwilę przetnie mężczyźnie drogę do wahadłowca.

Tak więc człowiek, nad którym całkowitą władzę przejęła panika, odwrócił się i pobiegł w drugą stronę.

Wprost do sali, z której przed chwilą wyniósł umierającą Katerinę.

